

*Najdzielniejsi
z dzielnych...*

1970 r.



BOHATERSKA DZIEWCZYNKA

Tak często narzekamy na szerzące się w naszym społeczeństwie objawy znieczulicy, a tak rzadko wyciągamy na jaw nie mniej liczne wypadki prawdziwego bohaterstwa. A przecież można usłyszeć lub przeczytać, że uratowano np. dzieci bawiące się na lodowej krze, wyciągnięto z płomieni niemowlę, w ostatniej chwili wydobyto spod samochodowych kół nieuważnego, niefortunnego saneczkarza. W takich nader dramatycznych sytuacjach ludzie ratujący — nie wiadomo dlaczego — pozostają bezimienni.

30 stycznia br. jedna z czytelniczek „Trybuny Mazowieckiej” ob. Hanna B. szła ulicami Ostrołęki po zakupy. Jak wszystkim wiadomo w każdym mieście naszego regionu nie uprzątnięte przyzmy śniegu wysokie są na chłopa. Trudno w takich warunkach o widoczność, ale nietrudno o nieszczęśliwy wypadek.

Hanna B. zupełnie przypadkowo była świadkiem sceny mrożącej krew w żyłach. Otóż opodal skrzyżowania ulic stały na jezdni sanki, a w nich pozostawione bez opieki czteroletnie dziecko. W tym momencie zza rogu pojawił się samochód ciężarowy skręcając ostro w ulicę na której stały sanki z dzieckiem. Kierowca nie mógł dostrzec wcześniej tej nieprzewidywalnej „przeszkody”, bo zasłaniały ją wysokie kopy śniegu uśypiane na rogach.

Hamowanie było zabiegiem spóźnionym. Pojazd wpadł w poślizg i sunął na przerażone dziecko. Hanna B. była zbyt daleko, aby interweniować. Wydawało się, iż tragiczna katastrofa jest nieunikniona gdy gdzieś z boku wyskoczyła nagle młoda dziewczyna pakując się prosto pod ciężarówkę. Kopnęła w bok sanki i zdołała jeszcze w ułamku sekundy uskoczyć sprzed zderzaka. Mogło zginąć dziecko gdyby nie jej interwencja, mogłaby zginąć sama gdyby nie szybki refleks. Ocaleli oboje.

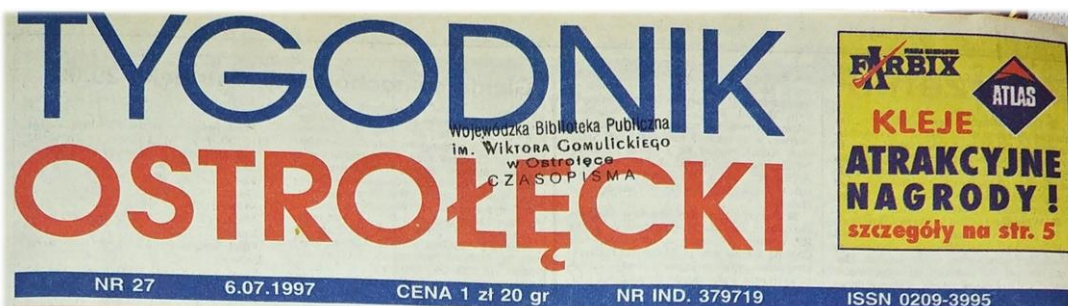
Jak to zazwyczaj bywa szybko zgromadził się tłum gapiów. Zapytano bohaterkę o nazwisko. Oświadczyła, iż nazywa się **Jadwigą Modzelewska** i chodzi do szkoły w Wojciechowicach dojeżdżając autobusem z Ostrołęki. Nasza czytelniczka chciała porozmawiać z dziewczynką, ale ta bardzo spieszyła się do szkoły.

„Ob. Hanna B. pisze do nas: „Nie wiem czy matka tego dziecka jest poinformowana o tym wydarzeniu. Czy wie o tym dyrekcja szkoły do której uczęszcza bohaterka dziewczynka, która nie zawahała się narażać własne życie ratując inne?”

Chcielibyśmy z pomocą naszych czytelników odszukać Jadzię Modzelewską i podziękować jej za piękny czyn. A może już to uczyniło kierownictwo szkoły lub władze miejskie? Chętnie o tym napiszemy...

(ZZ)

1997 r.



16-latek uratował tonącego

Krzysztof Szewczyk z Ostrołęki ma 16 lat. Uczy się w Zespole Szkół Zawodowych nr 2, za dwa lata będzie piekarzem. 20 czerwca na apelu szkolnym z okazji zakończenia roku szkolnego wicewojewoda, prezydent oraz przedstawiciele policji wręczyli mu rower górski.

— *Za co dostałeś ten rower?*
— Za uratowanie tonącego mężczyzny.
— *Kiedy to było?*
— W sobotę 7 czerwca około godziny dwudziestej obok mostu kolejowego.

— *To dość daleko od osiedla Centrum, gdzie mieszkasz...*

— To prawda, ale niedaleko mostu kolejowego mieszka moja dziewczyna i dlatego bywam tam dość często. Wtedy siedzieliśmy oboje na moście. W pewnej chwili usłyszałem krzyki dochodzące z prawego brzegu, że ktoś się topi.

— *I co? Skoczyłeś od razu do wody?*

— No nie, z początku pomyślałem, że ktoś sobie żartuje. Kiedy jednak krzyki nie ustawały i widziałem, że ludzie na brzegu biegną w jedną stronę, wtedy uświadomiłem sobie, że to nie są żarty. Zbiegłem z mostu na brzeg. Zobaczyłem dwie osoby na środku rzeki. Miały kłopoty.

Przy brzegu stała jakaś łódka. Dopiero później okazało się, że jest dziurawa. Wskoczyłem do niej tak, jak stałem, w ubraniu i w butach. Ktoś z brzegu podał mi jakiś kij do odpychania się. Kiedy byłem już w łódce, zorientowałem się, że tonący znajdują się bliżej lewego brzegu, na którym też stali ludzie i patrzyli.

— *Nikt ci nie pomógł?*

— Nikt. Prosiłem, żeby ktoś wsiadł ze mną do łódki, ale bez skutku. Tak, jakby nikt mnie nie słyszał. Zaczęłem płynąć sam. Cały czas widziałem dwie osoby na powierzchni wody: mężczyznę i dziecko. Kiedy zbliżyłem się do nich na jakieś 10 metrów, dziecko zniknęło pod wodą. Mężczyzna także nie miał już siły, widać było, że jeszcze chwila i też utonie. Podałem mu rękę z łódki, ale ktoś z brzegu krzyknął, że wciągnie mnie do wody i razem utoniemy. Wtedy mężczyzna złapał się rękami za łódkę, a ja wskoczyłem w ubraniu do wody i płynąc doholowałem łódkę z tonącym mężczyzną do lewego brzegu.

— *Podobno nie był trzeźwy...*

— Jak tylko go zobaczyłem na środku rzeki, od razu pomyślałem, że nie jest trzeźwy. Po wyjściu na brzeg zaczął wymiotować i wtedy jakby otrzeźwiał. Za jakieś 5 minut przyjechała policja. Mężczyzna mówił, że nic nie pamięta. Kiedy pytali go o syna, mówił że jest w domu.

— *A jak to naprawdę było z tą ich kąpielą?*

dokończenie na str. 3

16-latek uratował tonącego

dokończenie ze str. 1

— Dokładnie nie wiem, ale słyszałem, że ten, którego uratowałem, założył się z kolegą o pół litra, że posadzi swego 9-letniego syna na plecy i razem z nim przepłynie na drugą stronę Narwi. Ten, który miał wygrać tę butelkę, podobno szybko uciekł z brzegu, jak tylko zobaczył, co się stało.

— *Czy nie myślałeś potem, że lepiej byłoby uratować dziecko?*

— Gdyby była jakaś szansa, na pewno ratowałbym tego chłopca. Ale on już poszedł pod wodę. A kiedy płynąłem łódką, nie miałem pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło. Widziałem tonącego człowieka i chciałem go uratować.

— *Czy uratowany przez ciebie mężczyzna rozmawiał potem z tobą?*

— Nie. Ja jednak następnego dnia poszedłem w to samo miejsce i widziałem go. Chodził po brzegu i patrzył na rzekę. Wyglądało tak, jakby szukał swego syna.

— *Ciało dziecka zostało wyłowione w kilka dni później...*

— Dokładnie w sześć dni później. Byłem na jego pogrzebie.

— *Czy to, co zrobiłeś, to jest bohaterstwo?*

— Ja nie czuję się bohaterem. Nie myślałem wtedy

o tym, co robię. Do dziś nie wiem, dlaczego tak postąpiłem. Taka sytuacja zdarzyła mi się po raz pierwszy w życiu. Po prostu zobaczyłem, że ktoś się topi i wiedziałem, że trzeba temu komuś pomóc.

— *Ale przecież ryzykowałeś własnym życiem...*

— Tak, wiem o tym. Wtedy nie myślałem jednak, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, płynąłem nie najlepiej. W Narwi nie kąpałem się chyba ani razu, zdecydowanie wolę wchodzić do płytszej niż do głębszej wody.

— *A co na to twoi rodzice?*

— Rodziców nie było wtedy w domu, wrócili następnego dnia. Mama bardzo się zdenerwowała, kiedy dowiedziała się o wszystkim. Zresztą to nie ja powiedziałem jej o tym, tylko starszy brat.

— *Spodziewałeś się, że za swój czyn dostaniesz taką fajną nagrodę?*

— Nie spodziewałem się. Nie robiłem tego dla nagrody. Cieszę się jednak bardzo z tego „górala”. Rozpoczynają się wakacje, więc mam na czym jeździć.

— *Czy postąpiłbyś tak samo, gdybyś po raz drugi znalazł się w podobnej sytuacji?*

— Nie odpowiem na to pytanie, bo naprawdę nie wiem, jak postąpiłbym.

Mieczysław Bubrzycki

„...jesteśmy
po prostu
tacy, jakie
są nasze
czyny”

2007 r.

TYGODNIK OSTROLEŃSKI 29 maja 2007

Wydarzenia tygodnia

9

To był po prostu odruch ludzkiego serca – mówi Magdalena Sęk

Nie pozwoliła umrzeć kobiecie

Tylko szybkiej reakcji nastolatki zawdzięcza życie 42-letnia kobieta. Gdy inni patrzyli na to jak chora leży, dziewczyna przystąpiła do działania.

Coraz częściej spotykamy się ze znieczulicą jednego człowieka wobec drugiego. Widząc na ulicy osobę, której zachowanie wskazuje, że nie najlepiej się czuje, nie zawsze się tym przejmamy. Mówimy sobie wtedy, że to nie nasza sprawa i niech ktoś inny się tym zajmie. Tym kimś może być siedemnastoletnia dziewczyna.

W sobotę, 12 maja, około godziny 9.00, Magdalena Sęk, uczennica Technikum Informatycznego w ZSZ nr 2 w Ostrołęce, spieszyła się do budynku OCK, aby wziąć udział w przedstawieniu na uroczystej sesji Rady Miasta. Przypadkiem zobaczyła nieznaną sobie kobietę.

– Ta pani po prostu osuwała się po drzwiach wejściowych do sklepu „Gośka” (przy rondzie Księcia Janusza – przyp. red.) – opowiada Magdalena Sęk. – Podeszłam do niej, widząc, że się źle czuje, pomogłam jej dojść do pobliskiej ławki. Mówiłam jej, żeby głęboko oddychała.

Magda chwilę poczekała przy kobiecie, ta jednak czuła się coraz gorzej. Dziewczyna zadzwoniła po pogotowie.

– W trakcie czekania na karetkę podeszła do nas grupka moich znajomych – kontynuuje Magdalena Sęk. – Jedną z koleżanek, Aldona Larenta, pomogła mi ułożyć tą panią w pozycji, w której nogi są wyżej od głowy. Zdziwiło mnie zachowanie ludzi, na początku nikt nie reagował – kontynuuje. – Dopiero jak zobaczyli, że kobieta le-

ży, zebrali się wokół i zaczęli się po prostu gapić.

Po około 17 minutach zobaczyła karetkę. Wybiegła i zaczęła machać rękami, dając znać kierowcy, że to w tym miejscu jest potrzebna pomoc.

– Kiedy zabrali tą panią, nogi miałam jak z waty i cała się trzęsłam – mówi dziewczyna. – Miałam tremę przed występem, a tu jeszcze taka sytuacja.

Magda była wolontariuszką w domu dziecka, a w pierwszej klasie gimnazjum uczestniczyła w zajęciach dotyczących udzielania pierwszej pomocy. Jak sama twierdzi, te wiadomości bardzo jej się przydały w tamtej sytuacji.

Odratowana kobieta ma 42 lata i wykryto u niej chorobę wieńcową. Najbar-



Magda uważa, że to co zrobiła, to był zwykły, ludzki odruch Fot. K. Krawczyk

dziej znanymi objawami tej choroby jest dławica piersiowa lub zawał serca. Być może, właśnie dzięki pomocy dziewczyny, kobieta nadal żyje. ■ (kk)

*„Nie wszyscy o tym
wiedzą, ale każdy dobry
człowiek może być
bohaterem”*

W poniedziałek, 27 czerwca, ostroleczanka Anna Kacperowicz wybrała się na spacer nad Narwę. Z koleżanką i dziećmi. Było około 20, kiedy zawędrowały waleń do wysokości tak zwanej „starej plaży”. Tam usiadły na ustawionej na wale ławeczce. Pani Ania widziała jak kilku chłopców brodzi w rzece. Już wtedy coś ją tknęło...

– Pomyślałam nawet, żeby zejść nad brzeg i ich stamtąd przegonić. Wiem, że rzeka w tym miejscu jest niebezpieczna, poza tym jest tam zakaz kąpieli – odtwarza wydarzenia poniedziałkowego wieczoru.

Ale co to była za kąpiel? Chłopcy ledwie po kolana brodzili w wodzie. Słońce o tej porze było już nisko. Długo nie bawiących się nastolatków padały na spokojny nurt rzeki. Wodaniosła daleko echo ich wesołych krzyków. Nagle zrobiło się cicho. Po chwili znów krzyk, ale już inny...

– Chłopcy zaczęli wzywać pomocy – relacjonuje pani Anna.

Spojrzałam na córkę

Okazało się, że nagle jeden z nastolatków stracił grunt pod nogami. Dno Narwi w tym miejscu jest bardzo zdradliwe. Ciągająca się niemal do połowy rzeki pływaczka, a potem głęboki rów. To dlatego, że w tym miejscu do Narwi wpada Omulew. To jej nurt żłobi tę zdradziecką, podwodną skarpe.

– Widziałam jak jeden z chłopców próbował złapać tego, który stracił grunt pod nogami. Nie udało mu się.

Pani Anna zerwała się z ławki, szybko zrzuciła ubranie i ruszyła do wody. Kiedy to opowiada, głos jej się łamie. Wspomnienie tego ułamka sekundy, kiedy ruszyła z pomocą sprawia, że lzy same napływają jej do oczu.

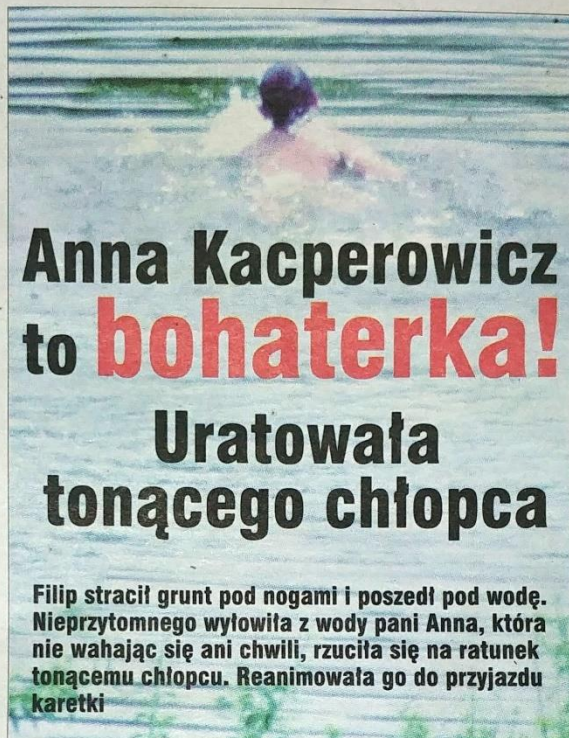
– Zostałam na brzegu swoją córeczką – z trudem opanowuję emocje. – Spojrzałam tylko na nią dwa razy i pobiegłam.

Kiedy była już w wodzie, widziała jak tonący chłopak, to wynurza się, to chowa pod wodę.

– Płynęłam do niego i krzyczałam, żeby się trzymał, że już jestem – mówi. – Kiedy byłam już blisko zniknął mi z oczu. Próbowałam wyczuć go nogami w miejscu gdzie widziałam go ostatni raz. Bez skutku. Nagle, tuż obok mnie, zobaczyłam jego rękę. Tylko ręka wystawała z wody. Tak jakby ostatkiem siły chciał mi pokazać gdzie jest. Nie wiem, ale to był chyba jego ostatni świadomy ruch, bo kiedy go złapałam był już nieprzytomny.

Pani Anna chwyciła chłopca i zaczęła holować do brzegu.

– Nie potrafię teraz nawet odtworzyć jak długo to wszystko trwało. Nawet nie potrafię określić, w którym miejscu



Filip stracił grunt pod nogami i poszedł pod wodę. Nieprzytomnego wylowiła z wody pani Anna, która nie wahając się ani chwili, rzuciła się na ratunek tonącemu chłopcu. Reanimowała go do przyjazdu karetki

udało nam się dotrzeć do brzegu. Jeszcze w wodzie, nie czując gruntu pod nogami, krzyknęłam do jednego z chłopców, którzy byli na brzegu, żeby mi pomógł. Potem poczułam grunt, on wskoczył do wody i razem wyciągnęliśmy chłopca na brzeg.

Jesteś dzielny!

Tam natychmiast zaczęli go reanimować. Pani Ania, przyznaje, że nie przechodziła żadnych specjalnych kursów udzielania pierwszej pomocy. Skąd wiedziała jak to zrobić? Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, może z telewizji. Każdy chyba ma o tym jakieś pojęcie – mówi.

Pojęcie, być może, ale żeby opanować emocje i zachować zimną krew w takim przypadku trzeba być człowiekiem niezwykle. Pani Ania zrobiła jeszcze więcej.

– Właściwie to akcję reanimacyjną podjął ten chłopak. On zaczął robić sztuczne oddychanie. Ja masowałam serce. Chłopak na chwilę otworzył oczy. Wydawało mi się, że już jest dobrze. Potem jednak znowu stracił przytomność. Chłopak, który reanimował go razem ze mną w pewnej chwili się zalał. Mówił, że już nie może, że nie ma siły. Mówiłam mu, że jest dzielny, że wszystko robi jak trzeba, że jeszcze musimy walczyć.

Walczyli aż do przyjazdu pogotowia. Wezwała je koleżanka pani Ani, która została na brzegu.

– Nie wiem ile to trwało. Na pewno przynajmniej dziesięć, piętnaście minut, może dłużej – mówi pani Anna. – Wtedy wydawało mi się, że za długo.

Po przyjeździe pogotowia, ratownicy kontynuowali reanimację. Na brzegu wydarzyło się też coś, co z pewnością nie powinno mieć miejsca.

– Kiedy chłopca zabierano już do karetki, ktoś powiedział mi, że on nie żyje! – pani Anna ścisza głos.

Nic takiego nie zrobiłam

Komuś najwyraźniej zabrakło wyobraźni, żeby „chlapnąć” coś takiego prosto w oczy kobiecie, która uratowała chłopca! Na szczęście okazało się, że to tylko ktoś z pogotowia „szybciej mówił niż myślał”. Akcja reanimacyjna była kontynuowana aż do przewiezienia do szpitala.

Kiedy oddawaliśmy ten numer do druku, 14-latek uratowany przez panią Anię, nadal w bardzo poważnym stanie przebywał na oddziale intensywnej opieki medycznej ostroleckiego szpitala. Był utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej.

Pani Anna nie uważa się za bohaterkę. – Myślę, że każdy zachowałby się tak samo – mówi. Po chwili jednak doda-

je. – Choć może nie każdy. Wtedy nad rzeką, na drugim brzegu, byli też dwaj wędkarze. Widziałam ich. Nie skoczyli...

Pani Ania wciąż myśli o chłopcu, który walczy o życie.

– Kiedy go ratowałam, czułam jakby to było moje dziecko – do oczu znów napływają jej łzy. – Wie pan, jestem matką, wychowujemy z mężem dwięcioletnią córkę, wychowywaliśmy też, dziś już pełnoletniego brata męża, byliśmy dla niego rodziną zastępczą.

Coś z tym trzeba zrobić!

Jej córka jest z mamy bardzo dumna. Choć to, co spotkało ją w poniedziałkowy wieczór nad Narwią, przeżywa cały czas.

– Ona przez dłuższy czas nie wiedziała co się ze mną dzieje. Brzeg Narwi jest tam zarośnięty, kiedy ja skoczyłam do wody, koleżanka z naszymi dziećmi nie widziała gdzie jestem. Dopiero mój pies, który wyczuł mnie chyba jak już wyszłam na brzeg, wbiegł w krzaki i wskazał miejsce, w którym jesteśmy. Córka bardzo to przeżyła – mówi pani Ania.

Ona sama, kilka dni po swoim bohaterstwie wyczerpie, cały czas jest roztrzęsiona. Ale nie myśli tylko o tym, co się stało. Nie czeka na uznanie. Wręcz przeciwnie...

– Ja pójdę do prezydenta, trzeba coś z tym zrobić! To nie może się powtórzyć – w jej oku zapala się iskra. – Ta dzika plaża jest bardzo niebezpieczna. A tam przecież nie ma nawet żadnej tablicy informującej o zakazie kąpieli. Powinny częściej pojawiać się tam patrole policji czy straży miejskiej. Może należałoby obsadzić ten teren jakąś roślinnością, która uniemożliwiałaby dojście do wody? – zastanawia się.

Nie sposób odmówić jej racji. Kilka lat temu w okolicach „starej plaży” ustawiony był tak zwany „czarny punkt wodny” informujący o utonięciach, które zdarzały się w tym miejscu.

Wcześniej, mimo formalnego zakazu kąpieli, na „starej plaży” pojawiali się ratownicy, którzy pilnowali, żeby amatorzy spacerów i wylegiwania się na brzegu nie wchodzili do wody. Z tego pomysłu zrezygnowano, uznając – być może słusznie – że obecność ratownika w pewnym sensie „sankcjonuje” dzikie kąpielisko.

Niemniej wyraźny znak zakazu kąpieli i częstsze patrole w tym miejscu są konieczne. Zwłaszcza, że to nie jedynie dzikie kąpielisko. Piaszczystych zatoczek i „plażycek” jest w Ostrołęce kilka – po obu stronach rzeki. W każdej chwili może dojść tam do tragedii.

PIOTR OSSOWSKI

**@ Podyskutuj na forum
www.to.com.pl**

„Heroizm nie jest w samych bitwach, ale na wszystkich polach życia i nieustannie”

● **Ostrołęka i okolice** Młodzi ludzie nagrodzeni przez wiceministra za pomoc starszemu człowiekowi. Działają w raczkującym u nas oddziale Grupy Ratowniczej Nadzieja

Piotr i Patryk bez wahania pospieszyli na ratunek

robert.majkowski@tygodnikostrolecki.pl
ROBERT MAJKOWSKI

Był poniedziałek 16 października, koto południa. Dwaj koledzy z klasy, Piotrek Tobojka i Patryk Lewandowski, właśnie wracali z praktyk. Byli umówieni na kregle ze znajomymi. Przechodzili obok handlowca Zorza przy ul. Fieldorfa „Nila” (dawna Gorbatowa), gdy zauważyli slaniającego się na nogach starszego mężczyznę.

Wiedzą o co chodzi?

– Widać było, że robi mu się słabo – opowiada Piotrek. – Próbowaliśmy chwycić rynnę, ale nie zdążyliśmy upaść.

17-latkowie szybko do niego podbiegli. Piotrek sięgnął po telefon, aby zadzwonić na pogotowie, a Patryk sprawdził czynności życiowe starszaka.

– Ciężko oddychał. Był nieprzytomny – przypomina sobie Patryk.

Karetka szybko przyjechała, ratownicy zajęli się resuscytacją, ponieważ mężczyzna przestał oddychać. Jeden z nich spytał naostatków, czy wiedzą o co chodzi i czy mogą pomóc.

– Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy strażakami ochotnikami, że możemy pomóc – mówi Piotrek. – Dostaliśmy rękawiczki i razem z ratownikami na zmianę wykonywaliśmy uciski klatki piersiowej.

– Trwało to ponad godzinę – dodaje Patryk.

Niestety walka zakończyła się niepowodzeniem. Około 70-letni mężczyzna umarł z przyczyn naturalnych.

Nie ma miejsca na pomyłkę

Postawę młodych ludzi postanowiono docenić. Podczas regionalnych obchodów Dnia Państwowego Ratownictwa Medycznego w Łomży otrzymali wyróżnienia od wiceministra spraw wewnętrznych i administracji Jarosława Zielińskiego.

– Działamy w młodzieżowych drużynach OSP (Piotrek w OSP Wydmusy, Patryk w OSP Tursoł – red.), ale nigdy nie musieliśmy zagrożenia – mówi Piotrek.

– Pomiędzy ćwiczeniami a życiem jest ogromna różnica. Docho-



Piotra Tobojkę (od prawej) i Patryka Lewandowskiego wyróżnił wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Jarosław Zieliński

bi się coś złe – opowiada Patryk. – Bo tu nie ma miejsca na pomyłkę.

– Uczono nas jednak, aby zawsze zachować trzeźwy umysł. Szkoda tylko wielka, że ten pan umarł i nie udało się go uratować – wtrąca Piotrek.

Chcę być strażakiem!

Z Patrykiem znają się półtora roku, poznali się w szkole – obaj chodzą do technikum budownictwa ze specjalnością bezpieczeństwo pożarowe w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 w Ostrołęce.

– Gdy miałem 4 lata, tata, który należy do OSP, zaprowadził mnie do strażnicy. Doskonale to pamiętam. Nie chciałem wyjść z wozu strażackiego. Tak mi się spodobało, że aż płakałem, gdy musieliśmy wracać do domu.

– Strażakiem to się właściwie urodziłem – mówi ze śmiechem.

– Dziadek był strażakiem, tata też. Co ciekawe, jego tata był bohaterem jednego z artykułów opublikowanych w TO w listopadzie 2015 roku. Jarosław Tobojka, funkcjonariusz Zakładu Karnego w Przysławach Starych i członek OSP Wydmusy, jako jeden z pierwszych pobił na pomoc

poszkodowanym w wypadku w Starczej Łące (sierpień 2015), w którym zginęła kobieta. Za swój czyn otrzymał odznak „Semper paratus”. Teraz syn idzie w jego ślady.

– W OSP Wydmusy ćwiczymy do zawodów, uczymy się właśnie pierwszej pomocy, co mi się teraz przydało, oraz obsługi sprzętu – opowiada. – Nie idzie to wszystkim na marnie. Za rok zrobię kurs i będę mógł jeździć na akcje. Chciałbym być strażakiem zawodowym.

Tak jak Patryk Lewandowski. On pochodzi z okolic Kolna.

– Gdy miałem 4 lata, tata, który należy do OSP, zaprowadził mnie do strażnicy. Doskonale to pamiętam. Nie chciałem wyjść z wozu strażackiego. Tak mi się spodobało, że aż płakałem, gdy musieliśmy wracać do domu.

Patryk był dowódcą młodzieżowej drużyny OSP Tursoł, działał też w Kolneńskiej Grupie Pierwszej Pomocy.

– Byłem mile zaskoczony odnalezieniem, ale to, co zrobiłem, traktuję jako mój obowiązek. Choć oczywiście ciepło na sercu się zro-

biło podczas uroczystości w Łomży, gdy wszyscy nam gratulowali.

Uzupełniamy system

Odnaczeni pewnie by nie było, gdyby nie to, że chłopcy należą do ostrołęckiego oddziału Grupy Ratowniczej Nadzieja. To ona zgłosiła ich do wyróżnienia.

Tego samego dnia, kiedy ratowali starszego mężczyznę, zapisali się do „Nadziei” i byli wieczorem na pierwszym spotkaniu grupy. Oddział w Ostrołęce dopiero się tworzy.

– Działamy na zasadzie wolontariatu. Jesteśmy uzupełnieniem systemu – mówi dowódca oddziału ostrołęckiego Sebastian Górski. – A ten często jest niewydolny. Zdarza się, że brakuje karetek, bo akurat wszystkie się rozjechały, a kolejni ludzie potrzebują pomocy. Wtedy my jesteśmy alarmowani, ponieważ posiadamy karetki i odpowiednią aparaturę. Podobnie jak w przypadku poszukiwań zaginionych osób.

Policijne centra poszukiwań nie działają na terenie każdego miasta i czasem specjalny oddział musi dojechać na miejsce zdarze-

nia wiele kilometrów. A tu liczy się czas. My natomiast jesteśmy na miejscu. Mamy oczywiście specjalistyczny sprzęt, mamy pod tym kątem przeszkolonych ludzi i jesteśmy w stanie pomóc zaginionym tak, jak policja.

Grupa zajmuje się także m.in. organizacją kursów pierwszej pomocy, pierwszej pomocy kwalifikowanej, zabezpieczeniem imprez masowych czy transportem medycznym chorych, nawet poza krajem (ze względu na koszty przewozu ta gałąź działalności grupy jest odpłatna, odstępujemy od tej zasady w wyjątkowych przypadkach).

– W ciągu roku cała nasza grupa ma kilkadziesiąt wyjazdów związanych z poszukiwaniami – mówi Sebastian Górski. – Transporty osób chorych, zabezpieczenia imprez i szkolenia odbywają się codziennie.

Jakie plany co do Ostrołęki

Obecnie istnieje kilka oddziałów „Nadziei”: główny w Łomży i pozostałe w Białymstoku (siedzibą jest Supraśl), Olsztynie, Augusto-



JAK DO NICH DOŁĄCZYĆ?
Kto może zostać członkiem Grupy Ratowniczej Nadzieja w Ostrołęce? Wyjaśnia jej dowódca Sebastian Górski. – Nie ma żadnych ograniczeń. Każdy może przyjść i spróbować swoich sił. Jeśli tylko się chce, to na pewno wyszukamy. Po około roku poświęconym na szkolenia ma się wiedzę i umiejętności, ci pozwalające na udział w akcjach ratunkowych i poszukiwaniach zaginionych. Nasze spotkania odbywają się raz w tygodniu, w jednej z sal komendy Straży Pożarnej w Ostrołęce. Szukamy też miejsca na swoją stałą siedzibę w mieście. Zainteresowanych odsyłamy na naszą stronę internetową i na Facebooka.

wie oraz właśnie w Ostrołęce. Ten ostatni – jak pisaliśmy wcześniej – dopiero stawia swoje pierwsze kroki.

– W Ostrołęce tworzymy na razie oddział młodzieżowy (są już też zgłoszenia do sekcji dla dorosłych zajmującej się poszukiwaniem zaginionych – red.) – informuje Sebastian Górski. – Mamy około 20 osób. Sporo jest dziewczyn. Jest kilka osób ze szkoły podstawowej, ale głównie ostrołęcki oddział to młodzież licealna. Szkolenie ich potrwa od pół roku do roku.

Potem będą gotowi do działania i, dalszej nauki. W ratownictwie nigdy nie jest jej dość, bo przecież nie można wyjść z wprawy.

– Często jest tak, że poszukiwania zaginionych trwają 7–8 godzin. To oznacza długie godziny chodzenia po lesie, w różnych warunkach – opowiada Sebastian Górski. – Trzeba być odpowiednio przygotowanym: na takie zmęczenie.

Piotrek i Patryk także chcą „uzupełniać” system ratowniczy razem z Nadzieją. I być gotowym, gdy dostaną alarmowego SMS-a z wezwaniem do szybkiej pomocy.

„...prawdziwego bohatera nie trzeba szukać daleko -
ma się go w sobie”